NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 123·50 Marek, Półrocznie 247·— Mk. Rocznie 494·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonparellowy i dwuszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 10 Marek.

Rok XVII. Kraków, 4. grudnia 1920. Nr 49.

Zamach morderczy w Krakowie



Karolina Pietrasowa pada pod kulami Antoniego Chmury.

AKROSTYCH.

Poświęcony „Miljonówce".

Moi panowie, zrozumcie przecie,
Iż nie opłaca się dusić grosza, —
Ledwo te marne grosze zbierzecie,
Już byle grzeszek wam wypatrosza
Oszczędność, skrytą w chudej kalecie.

Nie! Wolej tydzień bujać po świecie,
Osmego dzionka zaś igrać z losem,
Wolej z fantazją, przy pustej kiesie
Kołysać duszę marzeń odgłosem
Aż raz, w sobotę....
Lecz to już wiecie.

Odznaczenie Lwowa
orderem „Virtuti Militari".

Nasz lwowski korespondent w ten sposób opisuje przebieg uroczystości ozdobienia herbu miasta Lwowa orderem „Virtuti Militari" przez Naczelnika Państwa Piłsudskiego 22 listopada b. r.:

Łagodny jesienny poranek, osrebrzony jasnem słońcem, przezierającem z za puszystych obłoków, niósł w sobie jakieś uroczyste, odświętne oczekiwanie. Tłumy ludzi dążyły na plac Maryacki pod pod pomnik Mickiewicza. Rzadko o równie piękny dzień i równie podniosły nastrój. Było to jakby wielka rewia naszego bohaterstwa i patryotyzmu. W poszumie flag, w oknach, iluminowanych kartkami, strojnych zielenią i kobiercami z podobiznami Naczelnika Państwa, jaśniała duma pamięci wielkiej chwili!

Zgrupowane w ulicy Sienkiewicza automobile pancerne i tanki nie budziły trwogi. Tłum falował, kołysał się, weselił się i wznosił okrzyki: „Niech żyje Dziadek!" „Niech żyje Marszałek" i znów rozbrzmiał mazurek Dąbrowskiego lub poważne tony marszów.

Czuło się, że Lwów przeżywa dzień piękny i wielki.

O godz. 10 rano, specyalnym pociągiem z Warszawy, przyjechał Naczelnik Państwa Józef Piłsudski.

Na dworcu kolejowym celem powitania Dostojnego Gościa zjawili się przedstawiciele Władz wojskowych i cywilnych. Przybył Jen. Delegat Rządu dr Gałecki, prezydent miasta Neumann z wiceprezydentami: drem Stahlem, Chlamtaczem, Schleicherem i Ostrkiem, jenerałowie: szef sztabu jeneralnego Rozwadowski, dowódca O. G. Lamezan Salins, dowódca armii St. Haller, Jędrzejewski, oraz brygadyer Mączyński.

Osobną grupę stanowili członkowie misyi zagranicznych: pułkownik de Renty, oficerowie amerykańscy Rantigs i Grant, kapitan włoski Venturi.

Dalej zjawili się członkowie Rady miejskiej, przedstawiciele wszystkich władz cywilnych, D. O. G. i innych władz wojskowych.

Dworzec był udekorowany festonami, nalepkami i wizerunkami Naczelnika Państwa.

W chwili, gdy pociąg wiozący pierwszego Marszałka Polski, wjechał pod halę, rozległy się dźwięki muzyki wojskowej, grającej „Jeszcze Polska". Kompania honorowa sprezentowała broń i rozległ się gromki okrzyk na cześć Naczelnika „Niech żyje!" Do wysiadającego z wozu salonowego Naczelnika Państwa podszedł pierwszy Jeneralny Delegat Rządu dr Gałecki, z którym Naczelnik serdecznie przywitał się. Następnie Marszałek Polski przywitał się z jenerałami i innymi osobami.



Odznaczenie Lwowa orderem „Virtuti militari": Defilada załogi lwowskiej przed Naczelnikiem Państwa. Obok stoją: Arcybiskup Bilczewski, Jen. Del. Gałecki i prezydent miasta Neuman z udekorowanym herbem m. Lwowa.

Naczelnik przeszedł front kompanii honorowej, poczem orszak cały skierował się ku wyjściu.

Naczelnik Państwa przyjechał w otoczeniu świty, którą tworzyli: Jeneralny adjutant podpułk. Wieniawa Długoszewski, pierwszy adjutant kap. Łepkowski, por. Sołtan, por. Mościcki, por. Kadlenacy, dalej major Switalski. major Polkowski, dowódca kwatery Naczelnego Wodza i por. Michalewski.

Licznie zebrana publiczność w hali dworca gromkimi okrzykami powitała Naczelnika, poczem orszak skierował się przez dawny salon cesarski ku wyjściu.

W chwili, gdy Naczelnik Państwa w towarzystwie Jen. Delegata Rządu dra Gałeckiego i prezydenta Neumanna ukazał się na placu przed dworcem, z piersi tysięcy osób zgromadzonych rozległy się okrzyki na cześć Naczelnika.

Przed powozem Naczelnika Państwa jechał prezydent miasta, dalej Naczelnik Państwa z Jeneralnym Delegatem, świta, jeneralicya i przedstawiciele władz.

Orszak przejechał aleją kolejową, ul. Sapiehy, Kopernika, na plac Maryacki.

Wzdłuż całej drogi stały szpalery wojska, M. S. O., młodzież szkolna i bardzo liczna publiczność. Do chwila padały z tłumu owacyjne okrzyki. Naczelnik Państwa salutował.

Podnieść należy, że mimo braku chorągwi i flag w mieście, dekoracya okien i balkonów wypadła bardzo efektownie, a szczególnie bardzo ładnie dekorowana była ulica Sapiehy, górna i dolna Kopernika. Cały plac Maryacki tonął w powodzi flag, chorągwi, festonów, nalepek i okolicznościowych napisów.

Gdy Naczelnik Państwa zajechał na plac Marjacki, z piersi wielu tysięcy odezwały się gromkie okrzyki na cześć Marszałka. Dowódca miasta i placu jenerał Linda podjechał konno do Naczelnego Wodza i złożył raport wojskowy.

Na olbrzymim placu dookoła kolumny były ustawione oddziały wojskowe wszystkich gatunków broni; młodzież szkolna, skauci, oraz organizacye narodowe tworzyły szpalery. Wszędzie panował wzorowy porządek.

Naczelnik Państwa odebrał raport dowódcy miasta i odbył przegląd oddziałów.

U stóp kolumny frontem ku hotelowi Europejskiemu ustawiono ołtarz, przy którym cichą Mszę św. odprawił ks. Arcybiskup Bilczewski.

Na stopniach kolumny ustawili się przedstawiciele wszystkich władz wojskowych i cywilnych, członkowie Misyi zagranicznych, Rada miejska, delegaci zarządów miast: Wiceprezes Śliwiński z Warszawy, wiceprezydent Rolle z Krakowa i inni.

Punktualnie o godzinie 11 rozpoczęło się nabożeństwo.

Po skończonem nabożeństwie Naczelnik Państwa w towarzystwie ks. Arcybiskupa Bilczewskiego i Jeneralnego Delegata Rządu dr Gałeckiego w otoczeniu jeneralicyi i swojej świty, przeszedł do wylotu ul. Sienkiewicza, gdzie nastąpił akt dekorowania herbu.

Pięknie wykonaną tarczę herbową m. Lwowa trzymał prezydent miasta, szarfę zaś czterej wiceprezydenci.

Naczelnik Państwa przemówił krótko podnosząc zasługi Lwowa, bohaterstwo jego mieszkańców, którzy jak jeden żołnierz stanęli do walki o przynależność kresowego grodu do Rzeczypospolitej, poczem mianował m. Lwów kawalerem orderu „Virtuti Militari".

Dookoła tarczy herbowej ustawiono sześciu obrońców Lwowa z dobytemi szablami jako straż honorową.

Prezydent Neumann podziękował Naczelnikowi Państwa za uświetnienie Swoją obecnością uroczystości, dziękował dalej Naczelnikowi i Sejmowi za tak zaszczytne odznaczenie i złożył imieniem miasta Lwowa — hołd i podziękowanie za to.

W tej chwili odezwały się okrzyki na cześć Na-



Odznaczenie Lwowa orderem „Virtuti militari": Fragment z entuzyastycznego powitania Naczelnika Państwa przez obrońców Lwowa.



Odznaczenie Lwowa orderem „Virtuti militari": Msza św. przy pomniku Mickiewicza we Lwowie odprawiona podczas pobytu Naczelnika Państwa, w dniu 22 listopada b. r.

czelnika, a potem na cześć bohaterskich obrońców Lwowa.

Wielki entuzjazm wywołały okrzyki obrońców Lwowa, skierowane ku Naczelnikowi Państwa: „Niech żyje Dziadek!"

Owacyom nie było końca, okrzyki słychać było dolatujące z bocznych ulic, które wypełniał zwarty tłum, biorący z zapałem udział w dzisiejszem święcie polskiego Lwowa.

Orszak z Naczelnikiem Państwa u czoła, skierował się następnie wzdłuż szpalerów wojska i publiczności przez pl. Halicki, ul. Halicką na Rynek, przed Ratusz. Tutaj oczekiwali przybycia Dostojnego Gościa przedstawiciele władz i organizacyj.

Naczelnik Państwa zajął miejsce przed bramą ratusza, oczekując defilady.

Rozpoczęła się ona niebawem. Przy dźwiękach orkiestry kroczyli na czele obrońcy szkoły Sienkiewicza, dalej obrońcy różnych odcinków bojowych miasta, pochód zamykał oddział odcinka żandarmeryi z pułk. Hoszowskim.

Następnie szły załogujące oddziały wojskowe różnych gatunków broni: piechota, ułani, artylerja polowa i ciężka, tanki, automobile pancerne, oddział policyi państwowej i Ochotnicza Legia Kobiet.

Ogólną uwagę zwracało i wywoływało podziw nadzwyczajne wyszkolenie oddziałów, które z dumą kroczyły przed Naczelnym Wodzem, wykazując świetną postawę, sprężystość i animusz wojenny.

O godzinie drugiej rozpoczęło się w Ratuszu śniadanie, w którem wzięło udział oprócz Naczelnika Państwa, jeneralicyi, świty, naczelników Władz i instytucyi, delegacyi innych miast, także liczne grono obrońców Lwowa.



Odznaczenie Lwowa orderem „Virtuti militari": Prezydent miasta Lwowa Neuman wraz z wiceprezydentami niesie w pochodzie uroczystym udekorowany herb miasta.

Podczas śniadania wygłosił Naczelnik Państwa następujące przemówienie:

Moi Panowie! Lwów! któreż polskie serce nie drgnie na to miano? Za dawnych czasów Lwów był takiem miastem, jakich dawna Rzeczpospolita miała wiele. Miał swoje dni sławy i klęski, lecz nie zapomniana jego w historyi rola zaczyna się w noc najczarniejszej niewoli. Po roku 1863 Lwów był miastem najmniej ugodowym. Wówczas to wszędzie wszechwładna panowała ugoda, wszędzie hasłem była t. zw. rozwaga, tak często równoznaczna z tchórzostwem. Wszędzie panował t. zw. rozsądek, który jakże często był tylko bojaźnią. Lwów był zawsze najbardziej bez trwogi. Tutaj serca polskie biły najśmielej.

Kto pragnął odetchnąć uczuciem wolności, nawiązać nić tradycyjnej myśli czy walki o niepodległość Polski, musiał oprzeć pracę o Lwów, gdzie serca biły goręcej, rwąc się do wolności. Na tarczy Waszej herbowej wypisane są słowa: „Zawsze wierny". Dlatego iluż tutaj wiernych szukało ucieczki, ilu wiernych złożyło tu głowy, aby swoim duchem otoczyć opieką to, co tu w sercach najgoręcej żyło: wiarę, że jeszcze nie zginęła. Niech mi będzie wolno jako temu, który tutaj we Lwowie o ruchu zbrojnym marzył i w czyn go zrealizował, złożyć osobistą podziękę miastu, które mnie i moich uczniów chowało, gorącem swojem uczuciem grzało. W chwili, kiedy zginęła zmora naszej niewoli, Wam przypadł honor pierwszej walki przy Waszych murach i domach. Jak na zakończenie marszu żałobnego, który grano nad Polską — Wam zabrzmiały ostatnie akordy nie pogrzebu, lecz tryumfu.

Pozwólcie Panowie, że przypomnę, w jakich warunkach była Polska wówczas przed dwoma laty. Nie była to Polska dzisiejsza, która rozporządza setkami tysięcy dłoni, zdolnych pochwycić żelazne bagnety i setkami takich formacyi, które ją bronić są w stanie. Polska z przed dwóch lat, powołując synów do broni, nie miała bagnetów, któreby w ręce



Odznaczenie Lwowa orderem „Virtuti militari" Naczelnik Państwa przed opuszczeniem dworca kolejowego.



Odznaczenie Lwowa orderem „Virtuti militari": Naczelnik Państwa w powozie z jen. Dal. Galeckim udaje się wzdłuż szpalerów wojska i organiz. narod. na nabożeństwo.

żołnierzom włożyć mogła; gdy miała broń, nie miała odzieży, gdy miała odzież, nie miała naboi. Taką była Polska, gdy w łachmany ubrane zastępy szły pod Lwów, by go od najazdu bronić. Bój był prowadzony o oblężone miasto. To niezwykły bój proszę Panów. Miasto wywiera wpływ na żołnierza niesłychanie silny. Każda trwoga, każdy niepokój, każde drgnięcie serca miasta, niewidzialnemi nerwami bieży tam, gdzie na krańcach jego bój się toczy, do najdalej wysuniętej placówki żołnierskiej. Żołnierz staje się obywatelem miasta, miasto staje się żołnierzem, miasto i żołnierz żyje wspólnem życiem.

Trwoga i lęk czy ufność i wiara mieszkańców, te potęgi ciemne albo jasne, które dają klęskę albo zwycięstwo. Żołnierz staje się zależny od siły albo słabości tych, których broni, tak, że niewiadomo nie raz co ważniejsze, czy żołnierz, czy duch miasta, którego ten żołnierz broni. Lwów w dniach dla niego ciężkich stał się zbiorowym żołnierzem. Od jego pewności i wiary zależało, czy każdy żołnierz stać będzie spokojnie na placówce. Miasto jest w cięższych warunkach, niż żołnierz na froncie. Miasto nie widzi nieprzyjaciela, nie widzi bezpośredniego rezultatu strzałów, nie zna podniecenia, jakie daje walka oko w oko, miastu przypadają w udziale tylko same męki i trwoga.

Dzieciom zagraża nędza, rodziców chwyta śmiertelna obawa. Miasto musi brać udział w zbiorowych wysiłkach, musi opanować swój lęk, trzymać na wodzy swoją niepewność, aby strachem nie zrazić tych, którzy stoją na jego straży. Tych kilkadziesiąt dni uczyniło ze Lwowa dzielnego żołnierza. Dlatego ja jako Wódz Naczelny, który mam za zadanie odznaczać najdzielniejszych z pośród dzielnych, najwaleczniejszych z pośród walecznych, z całą sumiennością a zarazem uczuciem szczęścia rozstrzygam, że mogę dać zbiorowemu żołnierzowi, Waszemu miastu najwyższą odznakę wojskową. Jako najstarszy kawaler orderu Virtuti Militari, wznoszę toast. miasto Lwów, kawaler orderu Virtuti Militari niech żyje!

Zamach morderczy w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Skutki wojny widoczne są na każdym kroku. Niestety nie można o nich powiedzieć, aby były dodatnie, choć wojna światowa prowadzoną była, tak przynajmniej zapowiadali jej inicyatorzy, między innemi także w imię kultury i cywilizacyi. Siła pięści miała ustąpić przed prawem, narody miały się rządzić sprawiedliwością.

Widzieliśmy jednak, że program ten nie dopisał i to w każdym kierunku. Pod względem materyalnym jest daleko gorzej, niż było przed wojną, a o moralnym lepiej chyba nie wspominać. Ludzkość zdziczała, zatraciła poczucie prawa, gotowa każdej chwili stanąć z bronią w ręku, czy to dla poparcia tem skuteczniejszego swych żądań, nieraz bezpodstawnych, czy też pomszczenia swych krzywd, nieraz istniejących. Tyle się słyszało i czytało o przelewie krwi, tyle się jej widziało, że stała się ona czemś zupełnie obojętnem, ot, zwykłe następstwa wojny.

Kraków, jak dotąd przynajmniej, był tym starym, zacofanym Krakowem, w którym rozmaite zbrodnie kryminalne należały do rzadkości i całe lata stanowiły przedmiot rozmów i ubolewania nad zepsuciem, jakie się w świecie szerzy. Obecnie idzie nasze miasto pod tym względem z *postępem*, bo coraz częściej słyszy się o załatwianiu różnych osobistych porachunków przy pomocy rewolweru lub innego śmiercionośnego narzędzia albo środka.

I mamy znów dramat, jeden z tych, o jakie dziś tak łatwo w życiu. W grę wchodzi miłość do kobiety zamężnej, a przeczulenie, wywołane wojną i jej skutkami, doprowadza do katastrofy.

Antoni Chmura, budowniczy młynów, zapłonął gorącym afektem do Karoliny Pietrasowej, akuszerki, żony Jana, służącego w Bibliotece Jagiellońskiej. Z tego powodu małżeństwo się rozeszło, a Pietrasowa zamieszkała przy ul. Studenckiej, L. 4 mając Chmurę za sublokatora.

Sielanka ta, jak zresztą wszystkie, musiała się raz skończyć. Między Chmurą a Pietrasową doszło do nieporozumień, których następstwem było wypowiedzenie mu mieszkania. Czy Chmura wziął sobie tak gorąco do serca zerwanie stosunków ze swą kochanką, czy też wypowiedzenie mieszkania, o które dziś tak trudno, nie wiadomo. Faktem jest jednak, że go to bardzo podnieciło i gdy onegdaj powrócił wieczorem do domu, a Pietrasowa weszła do jego pokoju, widocznie podczas sprzeczki, w uniesieniu, lub z zemsty, że wzgardziła jego uczuciami, pochwycił rewolwer i oddał do swej ofiary siedem strzałów. Ciężko ranioną odwiozło pogotowie Towarzystwa ratunkowego do szpitala. Sprawca zamachu zbiegł z mieszkania, został przecież w kilka godzin później przez organa władzy bezpieczeństwa wyśledzony i aresztowany.

Dawniej o podobnym wypadku mówionoby latami, dziś objektywnie przechodzi się nad tem do porządku dziennego, czekając, co przyniesie jutro.



Odznaczenie Lwowa orderem „Virtuti militari“: Legionistki w szpalerach podczas pobytu Naczelnika Państwa we Lwowie.



Odznaczenie Lwowa orderem „Virtuti militari“: Naczelnik Państwa ze świtą udaje się pod pomnik Mickiewicza na nabożeństwo.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

20 II.

Przygotowywała się na ciężką walkę i ostateczną decyzyę. Próbowała czytać, ale bez skutku. Uwaga jej odwrócona była od kartek książki. Myśli jej ciągle powracały do jednego kierunku, do wielkich zmian jakie ta noc dla niej przynieść mogła.

Po jakimś czasie niepokój i oczekiwanie tak na nią silnie wpłynęły, że drżeć zaczęła całem ciałem i czuła w sercu ból nieznośny. Powstała więc i poszła uklęknąć przed portretem matki, ale i tam nie znalazła oczekiwanej pociechy i spokoju.

Pozostała tak klęcząc zatopiona w myślach długą chwilę, nie zdając sobie sprawy co się z nią dzieje.

Nadchodziła już północ.

Nagle silny, ostry gwizd przerwał głęboką ciszę nocy. Rachela drgnęła poruszona złem przeczuciem. Gwizd ten był przeciągły, monotonny. Po upływie kilku minut dał się słyszeć poraz drugi.

Rachela zaczęła nadsłuchiwać. Zdawało jej się, że słyszy kroki ojca, przesuwającego się ostrożnie po domu. Kroki te jednak były przyciszone i stłumione, tak, że Rachela więcej je wyczuwała niż dosłyszała. I znowu po przerwie rozległo się trzecie, przeciągłe gwizdnięcie. Poczem zaległa cisza.

Powstała i zaniepokojona silnie przysunęła się do drzwi. Tym razem szelest kroków rozbrzmiewał na piąterku ponad nią.

Trwała tak w oczekiwaniu blisko pół godziny. Rozdrażnienie jej wzrastało. Nareszcie ktoś zapukał lekko do jej drzwi.

Rachela była tak rozgorączkowana natężonem oczekiwaniem, że z piersi jej wyrwał się lekki okrzyk trwogi.

— Kto tam — zapytała drżącym głosem.

— To ja, twój ojciec.

— Czego chcesz?

— Otwórz mi.

— Czego chcesz odemnie, ojcze?

— Chcę żebyś mi otworzyła — zabrzmiał gniewny głos starego Mojżesza.

— Czy jesteś sam?

— Tak, jestem sam — odpowiedział ciągle rozdrażniony i gniewny.

Rachela otworzyła drzwi. Starzec wszedł, rozglądając się jak zawsze nieufnie po pokoju, poczem rzekł:

— Zejdź na chwilę.

— Dlaczego? — zapytała, marszcząc brwi z wyrazem niechęci.

— Ktoś chce cię widzieć.

— Kto to jest?

— Mistrz — tu głos Mojżesza stał się nagle pokorny i cichy.

— On nie potrzebuje wcale mnie widzieć — odrzekła zimno.

— Mylisz się — odpowiedział stary twardo — on musi się z tobą widzieć.

— W takim razie ja nie chcę go widzieć — rzekła młoda dziewczyna, zdecydowana już na walkę.

— Ty musisz go widzieć — powtórzył rozkazująco stary Mojżesz.

— Muszę? Któż mnie do tego chce zmusić?

— Ja.

Rachela zamilkła na chwilę.

— A gdybym cię nie posłuchała ojcze — wyrzekła w końcu.

— To przyprowadzę mistrza tutaj.

— Oh! nie! — krzyknęła. — Do mojego pokoju? To się stać nie może! Tu! gdzie jest portret mojej biednej matki? Nie ojcze! ty tego zrobić nie możesz!

— Matka twoja! Nie wymawiaj imienia matki — wyrzekł stary, patrząc na nią błędnemi oczami.

— Ah! ona potrafiłaby obronić mnie przed tym człowiekiem. Ona mnie kochała, moja biedna, droga matka — załkała Rachela rozpaczliwie.

— Córko moja! córko! — szepnął stary łagodniejszym głosem. — Mistrz nie chce ci uczynić nic złego. On pragnie tylko pomówić z tobą. Wysłuchaj go. Proszę cię tylko, abyś go wysłuchała. Nie odmawiaj mi tego!

— Widok jego wstrętem mnie przejmuje — wstrząsnęła się Rachela.

— To jest wielki, potężny człowiek! — szeptał stary z lękiem i podziwem. Błagam cię Rachelo, zapanuj nad wstrętem, posłuchaj mnie!

— Oh! ojcze! do czego ty mnie zmuszasz — jęknęła Rachela boleśnie.

— Wysłuchaj go tylko, nic więcej nie żądam od ciebie! — prosił Mojżesz pokornie już i cicho.

Krótka walka odbiła się na twarzy młodej dziewczyny. Pobladła lekko i oczy jej przybrały twardy, zimny wyraz.



„Mistrz" siedział w dużym fotelu Mojżesza i nikłe jego ułomne ciało ginęło w nim zupełnie.

— Posłuchaj mnie ojcze — wyrzekła głosem, w którym drgała stanowczość — ulegam twojej prośbie, ale nie uczynię nic więcej dla niego.

— Jak zechcesz moje dziecko, jak zechcesz, chcę tylko, abyś go wysłuchała.

— Odpowiadać mu będę twardo i zimno, ojcze. Bóg będzie zemną. On mi dopomoże do wypędzenia tego natarczywego człowieka, tego podłego dręczyciela, który wcisnął się przemocą do naszego domu — odparła młoda dziewczyna gorąco.

— Panie! Panie! — westchnął stary Mojżesz. — Oświeć ją! Wskaż jej właściwą drogę!

Rachela raz jeszcze gorącem spojrzeniem obrzuciła portret matki, poczem wyrzekła stanowczo do ojca.

— Idę — będziesz mi towarzyszył ojcze.

Lekkim, swobodnym krokiem podążyła za ojcem i weszła za nim do pokoju, który służył za bawialnię i sa'e jadalną.

Pokój ten był oświetlony tylko jedną lampą naftową, przysłoniętą abażurem, tak, że tylko na stół, nad którym wisiała, padał blask większy, cały zaś pokój tonął w półmroku.

„Mistrz" siedział w dużym fotelu Mojżesza i nikłe jego ułomne ciało ginęło w nim zupełnie. Ręce miał oparte na poręczach i w cieniu ręce te miały wygląd bladych i sztywnych rąk trupa. Pomimo braku światła, widać było twarz jego odrażającą, sinej bladości, wybladłą i wynędzniałą, nie okoloną żadnym zarostem. Tylko usta wąskie, mocno czerwone odcinały się żywą linią, przez które przeświecały duże, wystające żółte zęby. Czoło wysokie, w tył silnie cofnięte, obrośnięte było włosami prawie miedzianej barwy, rosnącemi w nieładzie, a pod gęstwiną tych rozburzonych zawsze włosów, para zielonych oczu, podobnych w zabarwieniu do wody stojącej na moczarach, szkliste, szklane. o nieruchomem spojrzeniu. Ciało całe było nieforemne, ułomne. Na lewem ramieniu olbrzymi garb, wykręcał cały korpus niezgrabny, ciężki, wsparty na krótkich, cienkich nogach.

Rachela podeszła do stołu, nie patrząc nawet w jego stronę i stanęła ze spojrzeniem, zapatrzonem przed siebie tak, jakgdyby nic nie widziała.

Mojżesz Kabib usiadł w kącie pokoju na krześle, pochylił głowę nisko na piersi, ręce złożył na kolanach w postawie człowieka śmiertelnie znużonego.

— Dobry wieczór Rachelo — zabrzmiał ostry głos mistrza.

— Dobry wieczór Markusie Henner — odpowiedziała spokojnie.

— Kazałaś czekać na siebie, Rachelo.

— Nie chciałam zejść — odparła dumnie, nie racząc się zwrócić do niego.

— Tak? A dlaczego?

— Bo uważam, że widzenie się z wami Markusie Henner jest dla mnie całkiem niepotrzebne.

Rzadkie brwi mistrza zbiegły się, na dźwięk swojego nazwiska dwukrotnie powtórzonego.

— A jednak zeszłaś Rachelo — rzekł po chwili z udaną pokorą w głosie.

— Tak.

— Dlaczego?

— Ażeby być posłuszną ojcu.

— Tylko dla tego?

— Tylko.

— Więc tak mnie nienawidzisz, mnie, Rachelo.

— Mylisz się Markusie Henner — odparła młoda dziewczyna dumnie. Ja nie mam nienawiści dla ciebie.

— A jakież więc uczucie żywisz dla mnie?

— Pogardę — wyrzekła żywo.

Markus Henner przygryzł wargi ze złością, ale nie wyrzekł już nic więcej. Mojżesz ze swojego kąta rzucił błagalne spojrzenie córce, ale Rachela dalej stała nieruchoma, wyprostowana, chłodna.

— Dlaczego pogardzasz mną Rachelo? — odezwał się po długiem milczeniu Markus, z trudem panując nad ogarniającą go wściekłością.

— Dlatego, ze jesteście dla mnie nędzną istotą Markusie.

— Rachelo! — jęknął stary Mojżesz rozpaczliwie.

— Prawda jest świętą ojcze. Pogardzam Markusem Henner, bo jest podłą istotą — powtórzyła odważnie młoda dziewczyna.

— Jesteś jedyną osobą, która odważa się w ten sposób mnie znieważać — wyrzekł mistrz. obrzucając ją surowem spojrzeniem.

Rachela zdawała się nie widzieć tego spojrzenia. Zaśmiała się drwiąco, nie odwracając głowy.

Mistrz poruszył się niecierpliwie na fotelu, zatapiając paznogcie w skórzane obicie.

— Odchodzę już. Dobrej nocy, Markusie Henner — rze ła Rachela po chwili.

— Rachelo, muszę z tobą pomówić... słyszysz Rachelo — zawołał rozkazująco.

— Wypowiadacie to jako rozkaz! — wybuchnęła drżącym od gniewu głosem.

— Nie! — szepnął Markus Henner łagodniej. — Ja ciebie proszę, Rachelo, ja chcę cię prosić. Mam z tobą do pomówienia o bardzo ważnych rzeczach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

28 I.

Rzecz cała kategorycznie przez matkę przedstawiona jej została, głosem nakazującym, nie dozwalającym buntu i oporu.

Kiedy Gawlik, który bądź co bądź najwięcej z całego domu czuł dla niej pobłażania, uściskał ją, winszując świetnego losu, Stasia zdobyła się na odwagę i ze łzami w oczach szepnęła:

— Tatku, ale ja tego pana nie kocham wcale... nie znam go prawie... ten człowiek nie budzi we mnie zaufania.

Gawlik roześmiał się serdecznie.

— Oj, ty romansowa główko! — zawołał. — Nie kocham. Wy wszystkie tak przed ślubem mówicie, a potem to sceny zazdrości mężowi wyprawiacie. Będziecie mieć dosyć czasu potem do wzajemnego poznania, aż nadto. No, no, tylko nie grymaś — dodał zimno, widząc, że słowa jego wywołały tylko większy smutek i niepokój na twarzy córki. — Dzieciak jeszcze jesteś, więc powinnaś zaufać rodzicom. Oni za ciebie muszą mieć rozum i zastanowienie.

Stasia zrozpaczona odeszła do swojego pokoju i łkając cicho, rzuciła się na łóżko, twarz kryjąc w poduszkach. W głowie jej panował zamęt ogromny.

Jakże to? Więc można tak rozporządzać cudzą wolą i sercem jak swą własnością!? Wolno jednem słowem, jednym zamiarem zniszczyć na zawsze życie cudze, zabić w niem najserdeczniejsze, ukrywane jak świętość nadzieje, całą jasną, radosną przyszłość, wymarzoną w nocach bezsennych, zdmuchnąć z przed nosa, jak nikły ogień świecy?! I tę zbrodnię popełniają ludzie, którym sama natura nadała rozkaz i obowiązek otoczenia opieką jej młodego życia, odsuwania od niego wszystkiego, co złe, brzydkie lub smutne! Więc cóż się stanie z tym instynktownie zakorzenionym w niej szacunkiem, wiarą i przywiązaniem dla rodziców, skoro ci ludzie właśnie, ci, od których tylko dobro ku niej płynąć powinno, okazują się dla niej tak bezwzględni i okrutni? Cały gmach młodych, naiwnych wierzeń Stasi runął w jednej chwili, jak gdyby poderwany niszczącą wichurą. Już teraz nie można było łudzić się dalej, ani liczyć, że czas złagodzi ich niechęć do jej najgorętszych pragnień! Za wielka przestrzeń dzieliła ją teraz od towarzysza zabaw dziecinnych i najdroższego przyjaciela! Czuła przytem, że nie znajdzie w sobie może nigdy odwagi, aby w tym domu, który stał się jej zupełnie obcy i wrogi, ośmielić się wspomnieć o Franku? Już słyszy szyderczy, pogardliwy, dotkliwy jak cięcie spicrutą śmiech matki i Kazi i te straszne, obelżywe słowa, wybiegające jak lawa gryząca z ich ust! Nie! ona nawet pozwolić nie może, aby Franka, jej Franka, miano w tym domu obrażać. Oni go nie znają, tak, i to jest także jedna z ważnych przyczyn, inaczej nikt by tu nie mógł go dotknąć choćby jednem słowem.

Tłusta, cyniczna, o małych, przebiegłych oczach twarz młodego Markiewicza zamajaczyła przed oczami Stasi.

Wzdrygnęła się całem ciałem i twarz jeszcze głębiej ukryła w poduszkach. Czy można go było porównać z szlachetną postawą Franka, z jego rozumnem, głębokiem spojrzeniem!? To samo było już obelgą dla niego!

I czemże zajmował się tamten wstrętny człowiek, jakie myśli i zamiary przebiegały pod tem czołem zarośniętem głęboko, na którem już hulaszcze życie wyżłobiło przedwcześnie bruzdy?

Zdaleka, jak gdyby przygnany jakąś falą ożywczą, zadźwięczał w uszach Stasi, nizki, melodyjny głos Franka, wymawiający tam, w pokoiku Felki, jakieś słowa, pełne cudownych brzmień i znaczenia, pod wpływem których otwierała się jak kwiat do słońca nieświadoma jej dusza, chłonąc je z gorączkową chciwością.

Ona takich słów nie słyszała nigdy w domu!

Tamten mówił o koniecznej, pięknej, braterskiej miłości pomiędzy ludźmi, głosił równość, zbratanie się dusz wszystkich, nawoływał do wspólnej pracy nad dobrem tych najbardziej wydziedziczonych i nieszczęśliwych — a tu słyszała tylko, że pieniądz jest największą siłą życia, że on tylko stanowi o wartości człowieka i że ludzie, którzy nie potrafią otoczyć się złotem, nędznemi są tylko istotami, nie wartającemi szacunku i litości.

I ona miałaby sprzeniewierzyć się jego i swoim przekonaniom i stać się jedną z tych, które biorą z życia migotliwe jego wartości i wygody, kosztem łez i ciężkiej pracy drugich!? Nie! Nie! To niemożliwe! W pierwszej chwili zniewolona słowami matki, mogła przytłumić w sobie, pozornie zgodzić się z jej wolą, ale ona ma przecież prawo rozporządzać życiem swojem według własnych upodobań i uczynić coś musi, aby się uwolnić z tych więzów, narzuconych jej przemocą.



— Róziu, — rzekła do pokojówki, która po chwili weszła, uśmiechając się życzliwie. — Ja wyjść muszę.

Stasia podniosła się z łóżka i otarła oczy. W oczach jej zaczerwionych od płaczu zabłysnął wyraz postanowienia i duchowego wysiłku.

Zmrok letni już zapadał. Za godzinę najdalej trzeba będzie zejść do salonu i uśmiechać się do gości zaproszonych na dzisiejszy wieczór. To było już nad siły Stasi!

Musi się uwolnić od tej pańszczyzny.

Poprawiła na sobie ubranie i udała się na poszukiwanie matki. Zastała ją w sypialnym pokoju w towarzystwie Kazi, wyświeżonej już, gotowej do przyjęcia narzeczonego.

— Mama wybaczy, że nie pokażę się dzisiaj w salonie — wymówiła głosem spokojnym i stanowczym. — Ale głowa mnie szalenie rozbolała i chcę się położyć zaraz. Proszę nie przysyłać nikogo do mnie z kolacyą, bo nic jeść nie będę. Chcę tylko wypocząć i zasnąć.

Gawlikowa spojrzała ze zdumieniem na Stasię. Nigdy jeszcze tak kategorycznie nie stawiała żadnego żądania. Uderzył ją także wyraz jej twarzy blady i surowy, a spojrzawszy jej w oczy, zmieszała się trochę.

— No, dobrze, dobrze — odparła łaskawie. — Rzeczywiście okropnie wyglądasz. Markiewicz nie przyjdzie dzisiaj, więc wypocznij, abyś na jutro dobrze wyglądała. Wzruszenie ją tak z nóg zwaliło — zaśmiała się do Kazi, przypinającej pęk kwiatów do stanika. Ty, to całkiem inaczej wyglądałaś nazajutrz po oświadczeniu się Gucia.

Stasia wyszła z sypialni i udała się do swojego pokoju, gdzie zadzwoniła na służącą.

— Róziu, — rzekła do pokojówki, która po chwili weszła, uśmiechając się życzliwie. — Ja wyjść muszę.

— Ależ proszę pani — zdziwiła się Rózia — Goście zaraz się schodzić zaczną.

— Ja ich przyjmować nie będę — odparła z błyskiem buntu w oczach Stasia. — Słuchaj no, Róziu, jesteś mi życzliwa, prawda?

— Ja jedną panienkę najwięcej z całego domu lubię — oświadczyła dziewczyna.

— Więc zechcesz może oddać mi przysługę. Ja wyjść muszę, ale nikt o tem wiedzieć nie może. Powiedziałam, że jestem słaba i że się położę. Jak wyjdę, zamkniesz więc pokój na klucz i powiesz, że prosiłam, żeby mnie nikt nie budził. A ja kiedy wrócę, zapukam na ciebie do drzwi kuchennych i przyjdziesz mi otworzyć sama od frontu. Nie chcę, żeby mnie Franciszek widział.

— Dobrze, proszę panienki — uśmiechnęła się Kazia. — Późno panienka przyjdzie?

— Nie, starać się będę być tu przed dziesiątą.

Po odejściu służącej Stasia prędko zarzuciła na siebie płaszczyk i kapelusz i wybiegła na ulicę.

Po raz pierwszy w życiu postępowała tak samowolnie, posługując się kłamstwem, aby zapewnić sobie chwilę swobody.

Ale w Stasi od kilku godzin zaszła wielka zmiana. Nie była to już cicha, wiecznie podlegająca cudzym wpływom i kaprysom dziewczyna. Przekonawszy się, że na względność i wyrozumiałość rodziców liczyć nie może, przestała się już łudzić, nie poczuwając się do żadnej solidarności względem nich. Na własnych siłach tylko opierać się mogła w bronieniu swojej wolności i szczęścia.

Biegła teraz podniecona walką do Kuźmów, mieszkających prawie na drugim końcu miasta. Chciała pomówić z Felką, rozmówić się ostatecznie z Frankiem i wspólnie obmyśleć sposoby ratunku.

Weszła zdyszana szybkim biegiem i wzruszeniem, które ją w ostatniej chwili ogarnęło.

Z Frankiem nie widziała się dawno. Od Felki tylko wiedziała, że smutny jest i zniechęcony i uchyla się od rozmowy z nią, spędzając wolne godziny od zajęcia na dalekich przechadzkach za miasto lub na czytaniu.

Bo jeżeli teraz, rzeczywiście zniechęcony i urażony w swojej miłości własnej, sam zechce odstąpić od dawnych zamiarów, widząc bezskuteczność swoich i jej wysiłków — to co będzie?

Świat wydał się Stasi nagle bardzo smutny, ludzie nielitościwi i źli. Energia opuściła ją zupełnie i blada bez słowa stanęła przed Felką, która wybiegła na jej spotkanie.

— Stasia! — zawołała ucieszona! — A ty skąd się tu wzięłaś! Myślałam, że już nigdy nie będziesz mogła do nas zajrzeć! Coś się stać musiało, — prawda? bo nie przypuszczam, żeby matka twoja okazała się niespodzianie tak wspaniałomyślną i pozwoliła ci tu przyjść dobrowolnie.

— Tak, Felka — wyszeptała Stasia, siadając bezwładnie na małej kanapce pod oknem. Stało się coś i przyszłam do was po radę.

— Czekaj, czekaj, zaraz zawołam Franka! — zawołała Felka, wybiegając. — Musi być jeszcze w domu. Miał po kolacyi pójść się przejść na Błonia. Dopiero się ucieszy!

Powróciła po chwili, prowadząc ze sobą brata.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM I.

27

Odczuwała przyjemność w przysłuchiwaniu się im bezpiecznie, jak przez dziurkę od klucza. Zazwyczaj starała się zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, który był przy niej. Dzisiaj pragnęła, żeby rozmowa jej męża z Barondi'm ciągnęła się w nieskończoność, gdyż dziwne uczucie zadowolenia i spokoju zaczynało nią owładać po gorzkim zawodzie i gniewie, którym uległa. Zdawało się jej, że podczas jej spoczynku w ciemnym pokoju blisko fontanny, hypnotyczna ręka jej się dotknęła i trzymała do tej pory. W rzeczywistości, była już pod urokiem czaru w dehebijeh, chociaż o tem nie wiedziała. Dahabijeh jest domem marzenia i spokojnego fizycznego zadowolenia. Mrs. Armine była bardzo zmysłową kobietą i czułą na wszystkie zmysłowe wrażenia; i teraz, podczas gdy mąż jej rozprawiał z zapałem o życia pracowitem i czynnem, otrzymywała od Nilu dary fizycznego rozleniwienia i ciszy. Jej ciało nie poruszało się, nie pragnęło się poruszać w głębokim, wysłanym poduszkami fotelu, było jakby po wstrzyknięciu morfiny; lecz jej umysł pozostał żywy i sądził zdolności tych dwóch mężczyzn. ciągle poszukiwał odpowiedzi na „dlaczego?" kiedy Nigel w końcu zawołał:

— W każdym razie mam zamiar wyjechać jutro nocnym pociągiem. A pan? Kiedy pan popłynie w górę rzeki?

— Dzisiaj w nocy.

— Do Arnaut?

— Do Arnaut, na parę dni; następnie dalej; mam interesa blisko Kom Ombos. Zabawię jakiś czas, później pojadę w dół do Assiont. Nie mam już tutaj nic do roboty.

— Pan ma interesa i w Assiont?

— O tak! W Assiont mam ich dużo. I trochę wyżej stąd na zachodnim brzegu mam ich także.

— Pola?

— Posiadam tam pomarańczowe ogrody.

Dziwię się, jak pan może zarządzać tem wszystkiem... cukier, bawełna, domy, faktorye. pan sam wgląda we wszystko?

— Gdzie oko pańskie nie patrzy, oko służącego się odwraca. Czy pan tego nie znajdzie w Fayum?

— Będę wiedział za dwa lub trzy dni.

Nigel zwrócił się nagle do żony.

— Słyszę — rzekła zwolna — zapomnieliście o mnie zupełnie, lecz ja wam się przysłuchiwałam.

Wyprostowała się i położyła ręce na szerokich poręczach fotelu.

— Otrzymałam naukę — dodała.

— Naukę? — rzekł Nigel.

— Naukę pokory.

Obaj mężczyźni prosili, żeby powiedziała co przez to rozumie, lecz nie chciała zaspokoić ich ciekawości.

— Macie dość rozumu żeby zgadnąć — było jej jedyną odpowiedzią. — Musimy iść Nigel. Słońce prędko zajdzie. Wkrótce rzeka przemieni się w złoto.

Ostatni wyraz wymówiła wolno, jakby z lubością, patrząc przytem na Barondi'ego.

— Nie zechce pani zostać i patrzeć stąd na zachód słońca, madame? — zapytał.

— Jestem pewna, że pan ma dużo do roboty. Słuchałam w pewnym celu i wiem, że pan jest człowiekiem do interesów i ma niewiele czasu na towarzyskie niedorzeczności, które zajmują umysł kobiecy. Czuję się prawie winną za zabranie jednej z pańskich godzin.

Nigel pomyślał, że w jej głosie przebijała się lekka uraza.

Barondi powiedział grzeczny frazes, w zwykły mu obojętny sposób, spokojny a oderwany, lecz nie zatrzymywał dłużej i Nigel czuł, że rzeczywiście musi mieć dużo zajęcia przed sobą... może przygotowanie do wieczornego odjazdu. Stanowczo nie był wielbicielem kobiet, lecz śmiałym aferzystą, który lubił życie i wiedział jak postępować z mężczyznami.

Pożegnał się z nimi na pokładzie.

Wstępując do feluki, która na nich czekała, Mrs. Armine nie mogła się powstrzymać, żeby nie podnieść głowy i spojrzeć na dziwne arabskie złote litery nad drzwiami, przez które znowu przeszła.

— Przeznaczenie każdego człowieka jest uwiązane u jego szyi.

Barondi poszedł za jej wzrokiem i uśmiech bez radości ukazał się na jego pełnych wargach, poczem znikł, pozostawiając na twarzy wyraz niezmąconego spokoju.

Tej nocy, w chwili kiedy księżyc wschodził, Lonlia jaśniejąc licznemi światłami, przepłynęła pod ogrodem willi Audrond i znikła w ciemności, płynąc na Południe.

Następnego wieczoru, pociągiem pospiesznym, idącym do Kairu, Nigel wyjechał do Fayum.

XVI.

Po odpłynięciu Lonlii w górę rzeki i wyjeździe Nigla, zupełna samotność i pustka złotych dni, otoczyła Mrs. Armine.

Zeszła do saloniku, ubrana jak do spaceru, jazdy, siedzenia pośród ruin, zajmowania się ogrodnictwem, słowem każdego czynnego zajęcia. Nie miała żadnego wyraźnego planu. Była tylko zupełnie swobodną i gdyby jej się zachciało spaceru, czy czegoś podobnego, była gotową. Tymczasem usiadła na terasie i patrzała po przez ogród.

Nie widziała nikogo ze swego miejsca. Ogrodnik był przy swej robocie, lub odpoczywał w jakiem zakrytem miejscu, spokój panował w całym ogrodzie.

Dzień był złocisty, niewypowiedzianie jasny i radosny, drgający światłem i życiem. Była swobodną. O co pierwsza myśl, która ją uderzyła. Przez ten czas Nigel musiał już dojechać do Kairu, wieczorem przybędzie do tego bajecznego Fayum, o którem się tyle nasłuchała, że stał się dla niej jakby moralnym symbolem. W Fayum nad wodą grał egipski Pan na flecie, Fayum zamieszkiwała natura, zwolniona z pęt cywilizacyi. I może zaraz, jutro, Nigel zacznie przygotowania na jej przyjęcie i zamieszkanie... gorączkowe przygotowanie, by ją zabrać „prosto do natury" jak się wyrażał. Starannie wypielęgnowanemi palcami dotknęła się ubielonego policzka i rozmyślała nie bez ironii o dziwnych kolejach ludzkiego żywota. Jaki chochlik wziął ją za rękę i zaprowadził do namiotu w Fayum, gdzie będzie mieszkała z mężem, płonącym świętym ogniem entuzyazmu? Bezwarunkowo czułaby się więcej u siebie na haftowanych poduszkach, wciągając do swych nozdrzy mdłą, lecz ciężką woń wschodu, słysząc szmer fontanny, podczas gdy jej umysł, czy duch, czy dusza, czy cokolwiek to było, w styczności z drugim „jakimkolwiek był", płonąłby ogniem, który mógł ją spalić, lecz nigdy oczyścić.

Co za cudowny, złoty dzień! Tego rana odczuwała dobroczynny wpływ niezrównanego klimatu daleko wyraźniej niż kiedykolwiek. Dlaczego? Skutkiem nieobecności Nigla, czy też dla jakiej innej przyczyny? Pomimo że zadawała sobie to pytanie, nie szukała odpowiedzi; powietrze wlewało w nią subtelnie rozkoszną obojętność — złoty spokój „co mnie to obchodzi". We wschodnim domu Barondi'ego ściskając palcami jedwabne poduszki, coś w niej mówiło: „muszę wycisnąć złoty sok z każdego mijającego roku". Tego dnia było kilka kropel złotego — kilka kropel, które musi wycisnąć, które jej spragnione wargi muszą wypić. Lata przelecą, i nadejdzie czarna, wieczna nicość. Musi zwrócić całą swą uwagę na radość i mogąc się stać jej udziałem, w krótkim przeciągu czasu, który jej pozostał — w krótkim przeciągu czasu, gdyż była kobietą, i miała przeszło czterdzieści lat.

Namiot w Fayum z Niglem! Nikt więcej tylko Nigel! Całymi dniami zupełne osamotnienie z Niglem! Z człowiekiem, który ją „w to wpakował". I życie od niej ucieka!

Myślała o tem i dusza jej potępiała to, jako los nieodpowiedni dla niej. A jednak, czuła się spokojną w głębi, pomimo że powierzchnia była zamącona. Błękit, złoto, ciepło, połączone z uczuciem swobody, nie mogą być pokonane przez żadną myśl czarną i nieszczęśliwą, ani jakąkolwiek obawę. Chwilami miała wrażenie, że się stara czuć gniewną i stara daremnie. Była zupełnie swobodną w tym świecie złota. Jak użyje tej wolności!

W złotej ciszy ogrodu usłyszała lekki szelest, spojrzała wkoło, i zobaczyła Ibrahima, który, uśmiechnięty, z głową trochę na lewe ramię zwieszoną, do niej zwolna się zbliżał. Za uszami miał zatknięte dwie róże, w ręku trzymał różę i niezapalonego papierosa.

— Co będziesz dzisiaj robił Ibrahim? — zapytała leniwie Mrs. Armine.

Ibrahim się zbliżył do niej, stanął, patrzał na dół, w swój wdzięczny, indywidualny sposób. Pogładził wprzód swego „dżelabich", podniósł różę, powąchał ją i rzekł niskim, kontraltowym głosem:

— Popłyniemy na drugi brzeg rzeki my Lady.

— Tak?

— Zabierzemy z sobą śniadanie; wyjedziemy na cały dzień,

— Oh! a co będzie z herbatą?

— Zabierzemy ją ze sobą w butelce, która wygląda jakby zrobiona ze srebra.

— Srebro i — złoto — szepnęła, patrząc w przestrzeń, gdzie leżały Teby, w objęciach bożka słońca.

— A kiedy wyjedziemy, Ibrahim?

Spojrzał na nią i jego łagodne wargi rozchyliły się, ukazując olśniewające zęby.

Kiedy pani będzie gotową, my Lady.

Spojrzała na jego twarz. Ibrahim miał dwadzieścia lat, lecz pomimo swego wysokiego wzrostu i wypróbowanych zdolności dragomana, wyglądał na chłopca. Wszystko w nim przypominało raczej chłopca, niż młodziana. Jego długa, smukła, wiotka postać, długa, brunatna szyja, mała głowa, pokryta czarnym, kędzierzawym włosem, wyraz zazwyczaj uśmiechniętych oczu, nawet jego spokojne ruchy, chód, sposób siadania i wstawania, wszystko wskazywało, lub zdawało się wskazywać, że był chłopcem. I było coś bardzo pociągającego w tej jego wielkiej młodzieńczości. Wzbudzał w każdym zaufanie.

— Jestem gotowa.

Mrs. Armine mówiła zwolna, wciąż patrząc na Ibrahima.

— Ale czy jest feluka, żeby nas zabrać? — dodała.

— Za cztery lub pięć minut my Lady.

— Dasz mi znać, jak nadejdzie. Pozostawiam tobie wszystkie przygotowania do lunchu i do herbaty.

— Wszystko, czego pani zapragnie, musi mieć, my Lady.

Czy to była przyjęta formułka Ibrahima? Tego dnia zdawał się wymawiać te wyrazy z większem niż zwykle przekonaniem, jakby z ukrytem znaczeniem. Wiele w nim było istotnego dziecińatwa? — myślała Mrs. Armine, idąc na górę. Nigel jej powiedział: „Rozkwitasz tutaj" i dodał: jesteś piękną, lecz nie ufasz własnej piękności. I to było może prawdą. Dzisiaj będzie sama z Ibrahimem i egipcyanami; będzie zupełnie swobodną i przyszła jej myśl, siedząc na tarasie, zetrzeć wszelkie szminki z twarzy, zanim feluka będzie gotową. Weszła do swej sypialni i zamknęła drzwi.

— Feluka już nadpływa, my Lady! — zawołał w dziesięć minut później Ibrahim z tarasu; podszedł pod dom i powtórzył wołanie.

— W tej chwili schodzę.

Przeszło znowu dziesięć minut i Mrs. Armine się ukazała. Twarz jej okrywał biały welon.

— Czy wszystko gotowe? Ibrahim.

— Wszystko.

Wsiedli do Feluki i przepłynęli wszerz rzekę.

Na zachodnim brzegu, stał Hanza, modlący się poganiacz osłów, trzymając dwoje tych zwierząt wspaniale przybranych i oczekiwał ze spokojem.

Mrs. Armine, przy pomocy Ibrahima, wysiadła z feluki, która zaraz odpłynęła na drugą stronę. Wioślarze śpiewali niskim, prawie tragicznym głosem, pochylając się nad ogromnemi wiosłami. Głosy ich umilkły w oddali. Mrs. Armine stała przy brzegu, słuchając ich śpiewu. Kiedy przeciągłe diminuendo przeszło w monotonny szmer, którego już uchwycić prawie nie mogła, odwróciła się z westchnieniem; miała wrażenie, że ostatni węzeł, łączący ją z cywilizacyą, został rozwiązany i że jest pochwycona przez suche, gorące ręce Wschodu. Odwracając się, zobaczyła tuż przed sobą stojącego bez ruchu jak posąg, Hanzę, z utkwionemi w nią wielkiemi, poważnemi oczami.

— Niech dzień pani będzie szczęśliwy!

Wypowiedział to pozdrowienie arabskie poważnie, ze spokojem. Mrs. Armine podziękowała w angielskim języku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Kalendarz, i to nie tylko stuletni, ale nawet zupełnie zwyczajny, stwierdza, że rok 1920 ma się już ku końcowi, zaczyna się bowiem grudzień, i czas adwentu, przeznaczony na przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia.

Ponieważ ludzie są z natury ciekawi, jaki będzie rok następny, w tym właśnie okresie starają się o tem przekonać, przedewszystkiem w wigilię świętego Andrzeja, do czego służy tendencyjne „lanie" wosku lub ołowiu, co powtarza się jeszcze dla większej pewności, w dzień wigilijny, to jest 24. grudnia. Ponadto św. Barbara wróży, jakie będzie Boże Narodzenie, a dwanaście dni, począwszy od św. Łucyi, mają stanowić niezawodną wskazówkę, jakiej pogody możemy się spodziewać w roku następnym. Każdy dzień odpowiada jednemu miesiącowi. Zwłaszcza gospodarze, którzy w zimowym czasie nie mają nic do roboty, gdyż zboże już wymłócili i puścili „na pasek", notują skrzętnie zapiski meteorologiczne z tych dni, aby się potem przekonać, że jest zupełnie inaczej, nie tak, jak się spodziewali.

Kronikarz, jako człowiek starej daty, próbuje też stale tych horoskopów, w szczególności zaś bierze żywy udział wraz z całą swą rodziną w Andrzejowskiem „laniu", gdyż miał już niejednokrotnie sposobność przekonać się sam na sobie, że te przepowiednie się spełniają. Wprawdzie nie zawsze, ale bardzo często. W ubiegłym roku ulała mu się figa i w samej rzeczy przez rok cały z nią się ciągle spotykał.

Zatem i w bieżącym roku odbyło się też familijne „lanie" i to nie przy użyciu ołowiu, który nam tylko wojnę wywołał (zresztą brak go, gdyż został zarekwirowany przez Austryaków na potrzeby armii...), ale pokojowego zupełnie wosku, wyrabianego przez nasze poczciwe pszczółki, a fałszowanego przez niesumiennych przemysłowców dodawaniem wosku ziemnego. Jest on w całem tego słowa znaczeniu artykułem pokojowym, służy bowiem głównie do froterowania podłóg w pokojach.

Każdemu z członków rodziny ulało się coś, co sobie potrafił wytłómaczyć według swych życzeń i pragnień, a trzeba przyznać, że szczególniej płeć piękna ma w tym kierunku nadzwyczaj bujną wyobraźnię.

Ollew, sporządzony własną ręką kronikarza (przyczem się nawet poparzył, co powinno stanowić wskazówkę, że nie powinno się nigdy zbyt gorąco zabierać do dzieła...), badany przez całą rodzinę pod światło i od światła przedstawiał coś, co równie dobrze może być uważane za trójkątny kapelusz stosowany, w jakim chodzili ś. p. austryaccy ministrowie (tak twierdzi Weronika, a ona się zna na tem, i wywodzi z tego powodu, iż w roku następnym czekają jej małżonka wielkie zaszczyty...), jak i za figę, bardzo podobną do zeszłorocznej. To jedno jest ciekawe, iż znalazło się w nim akurat sześć dziur, to jest tyle, ile zer ma milion w swym ponętnym ogonie. Być może, jest to zatem wskazówką, że w następnym roku czeka kronikarza wygrana na „premiówkę", co byłoby ze wszechmiar pożądanem, już nie ze względu na możność kupienia kamienicy, ale bodaj oporządzenia się jakiego takiego, co, wobec normalnych dochodów, stanowi przedmiot marzeń, nie mających się nigdy doczekać realizacyi. Weronika z maszynki do rozmawiania z duchami już zrezygnowała zupełnie, natomiast wlazł jej w głowę Guzik, o którym w ubiegłym tygodniu tak się szeroko *Kuryerek* rozpisywał.

Milion pod kronikarskim dachem byłby bardzo mile powitany, natomiast ta zapowiedź czekających go w najbliższej przyszłości zaszczytów, bynajmniej go nie wzrusza.

Następne „lanie", celem tem pewniejszego przekonania się o przyszłych losach, odbędzie się nieodwołalnie w wieczór wigilijny, podczas którego, jak się zdaje, będziemy się musieli obejść bez tradycyjnych rybek, ba, nawet i bez śledzia. Dawniej, gdy nie mieliśmy własnego morza, mieliśmy co rok ryby, teraz mamy morze, ale ryby z niego je kto inny, podobnie jak i cukier nasz i t. d. Wigilia zatem i wogóle Święta nie zapowiadają się zbyt świetnie, wobec czego i „lanie" gotowo się nie udać.

Ale nie uprzedzajmy wypadków, zastanówmy się raczej nad tem, jaki zaszczyt mógłby się stać udziałem kronikarza. Rozumie się samo przez się, że ten zaszczyt musi być połączony i z odpowiednią pensyą, aby mógł być naprawdę zaszczytem.

W pierwszej chwili przyszły na myśl trzy stanowiska, mające być w najbliższym czasie obsadzone. Pierwsze z nich, to posada ministra skarbu, drugie czwarty fotel wiceprezydenta miasta Krakowa, wreszcie kierownictwo mającej być powołaną do życia w Warszawie Rady nabiałowej.

Co do pierwszego z nich, to ono nie może być poważnie brane w rachubę, gdyż kronikarz nie należy do żadnego ze stronnictw, będących dziś przy głosie, zatem ów osławiony „klucz partyjny" nie otworzy mu bramy do lepszej przyszłości. Zresztą stanowisko ministra skarbu jest niezbyt świetne już choćby tylko z tego względu, że musi się on starać o szukanie dochodów i wygniatanie ich, gdzie się da, a nawet nieda, a ludzie są pod tym względem bardzo czuli i dlatego żaden minister skarbu nie cieszył się jeszcze uznaniem. Jedynie może w Monaco, gdzie obywatele podatków nie płacą, jeżeli jest taki dostojnik, może wieść żywot spokojny i znośny, gdyż tylko daje, a nie bierze, w innych zaś państwach koledzy jego postępują zupełnie przeciwnie. Mieliśmy sposobność przekonać się o tem na panu Grabskim, który, być może miał i najlepsze chęci, w rezultacie przecież dał się nawet i najlojalniejszym podatnikom we znaki, pożegnali go też z westchnieniem ulgi, ale zarazem i z uczuciem nadziei, że następca z pewnością nie będzie lepszy.

Zresztą kronikarz, musi się tu przyznać, do pertraktacyi finansowych nie ma uzdolnienia (podobno i minister może się obejść bez tego...), nie ma także i szczęścia, jak się o tem przekonał przy sposobności załatwiania spraw domowo-budżetowych.

Każde gospodarstwo domowe jest bowiem pewnego rodzaju gabinetem ministeryalnym, w którym poszczególne teki rozdzielone są między męża i żonę, czasem dzieci i służącą.

Sprawy zagraniczne, to jest stosunki dyplomatyczne z sąsiadami, sprawy wewnętrzne i wojna, tak z każdym wrogiem zewnętrznym, jak i wewnętrznym, to resort pani domu. Do niej należy także poczta i telegraf, przynoszące wiadomości, co się dzieje w całej kamienicy, dzielnicy, a nawet w mieście całem. Poczta ta, zwana pantoflową, funkcyonuje nawet sprawniej, niż rządowa. Małżonkowi nałożono finanse, aprowizacyę i oświetlenie, handel i przemysł, komunikacyę (gdzie rodzinę wysłać na lato), do służącej należą roboty publiczne i opieka społeczna nad całą rodziną. O ile córka gra na fortepianie lub śpiewa, a synowie zaopatrują ściany rysunkami, są też i przedstawicielami kultury i sztuki. Troska o zdrowie należy do wszystkich razem i każdego z osobna.

Kto zaś, o szczupłym zakresie budżetu domowego nie może sobie dać rady, ten z pewnością nie sprostałby obowiązkom, jakie ciążą na osobie ministra skarbu. W domu tylko żona woła o pieniądze, a tak nieraz ciężko zadośćuczynić jej żądaniom, ministrowi skarbu nie dają spokoju wszyscy koledzy, a jest ich coś około dwunastu, każdy zaś wychodzi z założenia, że kolega od skarbu jest od starania się o pieniądze, a oni od tego, aby je wydawali.

Zatem z teki skarbu nici.

Usadowienie się na fotelu czwartego wiceprezydenta Wielkiego Krakowa, będzie też połączone z pewnemi trudnościami, gdyż kandydat na to stanowisko jest już desygnowany. Jest nim Dr Emil Bobrowski, człowiek znany ze swej energii, może więc doczekamy się wreszcie poprawy stosunków aprowizacyjnych w naszem mieście. Trzeba bowiem wiedzieć, że kreowanie tej posady stoi w ścisłym związku z aprowizacyą miasta, z dnia na dzień przedstawiającą się coraz bardziej opłakanie. Prezydent przebywa przeważnie w Warszawie, dotychczasowi trzej jego zastępcy mają co innego na głowie i nie mogą się zająć tą sprawą. Postanowiono więc, że jedynym ratunkiem może być ustanowienie czwartej wiceprezydentury i oddanie jej w ręce spraw aprowizacyi. Osoba przyszłego opiekuna naszych żołądków daje pełną gwarancyę, że wybór był tym razem trafny. Podnoszą się wprawdzie głosy, że czterech zastępców burmistrza to nawet na Wielki Kraków zawiele, ale trzeba się z tem pogodzić, jeżeli nie można w inny sposób zaradzić złemu.

Nowy wiceprezydent-aprowizator będzie miał bardzo trudne zadanie do spełnienia, w żadnym bowiem dziale administracyi państwowej niema tyle chaosu, co w dziale aprowizacyi. Przyczyniają się do tego różnego rodzaju dziwolągi wojenne pod postacią rozmaitych Urzędów wywozu i przywozu, Puzappów, central i t. p. Taki n. p. Urząd wywozu i przywozu, bardzo chętnie wywiózłby z kraju wszystko, nic natomiast nie chce przywieźć, gdy się zaś zdecyduje nareszcie na wydanie pozwolenia w tym kierunku, to zwykle już poniewczasie. Tak było z cukrem z Ukrainy. Miał nam go dostarczyć Petlura, zanim jednak Warszawa połapała się o co chodzi, już było po ludowej Ukrainie, a bolszewicy stali nad Zbruczem. Albo taki „Puzapp", czyli „Państwowy urząd zakupna artykułów pierwszej potrzeby". Jest to nazwa urzędowa, gdy natomiast niektórzy inicyały te czytają: „Państwowy urząd zmniejszania apetytu przez paskarstwo". Dzięki trudnościom, jakich bowiem przysparza przy zaopatrywaniu się w te artykuły, z „pierwszych potrzeb już dawno zmuszeni byliśmy zrezygnować, a „drugie" zaspakajamy u paskarzy, wobec czego każdy ogranicza swe zapotrzebowania do minimum, odmawia sobie wszystkiego, byle tylko jakoś związać koniec z końcem, a sznurek aby nie pękł.

Ile zaś w tych instytucyach dygnitarzy i to bardzo wysokich, ale tylko wzrostem i płcią a nie wykształceniem, ile nieortograficznie piszących maszyn i obsługujących je dzierlatek. Gdyby te zupełnie niepotrzebne instytucye zwinięto, a pieniądze, jakie się na nie wydaje, obrócono na poprawę aprowizacyi, byłaby zapewnioną na rok cały, co zaś ważniejsze, pozbylibyśmy się niepotrzebnych zupełnie kłopotów, utrudnień i nieporządku.

Z temi „usterkami" będzie miał nowy wiceprezydent walkę bardzo trudną, ale może je przecież w jakiś sposób zwycięży.

A taka n. p. sprawa węglowa!... Aż się płakać chce, gdy się człowiek spojrzy na piec, który zdaje się mówić przez otwarte drzwiczki:

„Tydzień przeminął, jak węgli nie jadłem!..."

Niestety!... Minie jeszcze wiele tygodni, a nie zakosztuje ich, gdyż te „czarne dyamenty" należą dziś do prawdziwych klejnotów i nic też dziwnego, że drobni handlarze węgli starają się o przydzielenie ich do cechu złotników i jubilerów, jako że handlują „drogimi kamieniami".

Mamy własne kopalnie węgli w Jaworznie, mamy nawet Inspektorat węglowy na Małopolskę z siedzibą w Krakowie, ale węgli zato niema. Raz produkcya kopalni nie dopisze, to znów brak wagonów na ich przewiezienie, a gdy przypadkiem, co się jednak bardzo rzadko zdarza, jedno i drugie jest w porządku, jakby na zawołanie mamy jakiś strajk, tymczasem sprawa idzie w niepamięć, a potem węgle jadą sobie gdzieindziej.

Jak Kraków wygląda bez opału i światła, mieliśmy sposobność przekonać się w ubiegły czwartek, gdy do innych plag, jakie nas już nawiedziły, przyłączyła się plaga ciemności. Patrząc na piec bez ognia i lampę elektryczną bez światła, doznawało się zimnych dreszczów i zupełnie czarnej melancholii, co, dzięki katastrofie węglowej, może bardzo łatwo przejść w stan chroniczny. Czas „codzienny" stał się już „tygodniowym", po największej części nie dostaje się go wcale, zamiast zaś niego wydaje magistrat pęcak lub fasolę, zatem środki wybuchowe, ale, prawdopodobnie ze względów ostrożności, w ilości, wykluczającej przy ich pomocy popełnienie samobójstwa.

Od głodowej śmierci i zmarznięcia ma nas uratować energiczna ręka nowego wiceprezydenta. Największych sukcesów w tym kierunku życzy mu kronikarz w swym i P. T. Czytelników interesie, nie zazdroszcząc bynajmniej fotelu, na którym nie będzie mu z pewnością zbyt wygodnie. Cieszyć się zatem należy, że młoda siła wchodzi do prezydyum, rozrusza bowiem starszych kolegów.

Co się tyczy trzeciej posady, to ta jest jeszcze w powietrzu, gdyż nowa instytucya jest dopiero w projekcie, który czeka na zrealizowanie, a różni protegowani czekają na posady, jakie się tam otworzą. Urzędowanie nie będzie zbyt trudne, wystarczy kwalifikacya, że się ma domowe wykształcenie i... protekcyę. Tej zaś ostatniej brak kronikarzowi, być więc łatwo może, że i ten zaszczyt go ominie. A szkoda, ma już bowiem przygotowaną płomienną odezwę do krów, aby dawały więcej mleka, mniej wody, i do kur, wzywającą je do gorliwego pełnienia obywatelskich obowiązków pod postacią regularnego znoszenia jaj, po pięć marek sztuka.

Jak się więc zdaje, to owe „ulane" na św. Andrzeja zaszczyty skończą się pozostaniem na fotelu redakcyjnym z kronikarskiem piórem w ręku.

Nie jest także wykluczonem, że święty Mikołaj obdarzy czem pięknem kronikarza, o tem jednak będzie można zabrać głos dopiero w następnym numerze, dziś, nie czas jeszcze na to i staje na przeszkodzie brak miejsca.

Kto zatem ciekaw, co kronikarz dostał, dowie się akurat za tydzień, a okres to krótszy, niż lat dwadzieścia, przeznaczonych na czekanie na wygranie miliona z „premiówki".

Mógłby wprawdzie każdy, więc i kronikarz, powiedzieć już dziś, co znajdzie pod poduszką rano w dniu 6. grudnia, nie chce przecież uprzedzać wypadków. Jest to zresztą tajemnica domowa, której zdradzać nie wolno. Kronikarz postępuje w tym wypadku jak ów synek masarza, który w szkole, na zapytanie nauczyciela, z czego się robi kiszki i kiełbasy, rzekł:

— Wiem!... Ale nie powiem, bo tatuś sprawiłby mi lanie!

Krakowski garnizon w rocznicę listopadową.

Dziewięćdziesiąta rocznica wybuchu powstania listopadowego, przeszła w Krakowie może nawet zbyt cicho. Obchodziła ją jedynie wojskowość, która ten dzień wybrała na uroczysty obchód pamiątek, związanych z życiem żołnierskiem, a przypadających w takiej obfitości na listopad.

W tym celu wydało krakowskie D. O. G. rozkaz do wszystkich garnizonów na terytoryum, jego władzy podległem, z poleceniem urządzenia w tym dniu uroczystych obchodów i położenia nacisku na znaczenie, jakie ten moment ma w dziejach naszego narodu. Sprawę tę kładzie rozkaz na sercu komendantom oddziałów, księżom kapelanem i referentom oświatowym.

W wykonaniu powyższego rozkazu urządziła Komenda miasta Krakowa w dniu 28 listopada nabożeństwo dla załogi oraz zaproszonych gości w kościele garnizonowym św. Piotra. Wzięli w niem udział: jeneralicya z jen. A. Symonem na czele, korpus oficerski, delegacye wszystkich oddziałów, konsystujących w mieście, przedstawiciele władz i instytucyi, oraz tłumnie zebrana publiczność. Stawili się też i weterani z r. 1863 ze sztandarem.

Nabożeństwo poprzedziło kazanie X. kapelana Tartyły, który w pięknych słowach schakteryzował znaczenie tego narodowego święta, nawiązując doń i inne uroczystości i obchody, jakie Polska święciła w listopadzie. Po nabożeństwie odbyła się defilada przed jeneralicyą, korpusem oficerskim i reprezentantami władz.

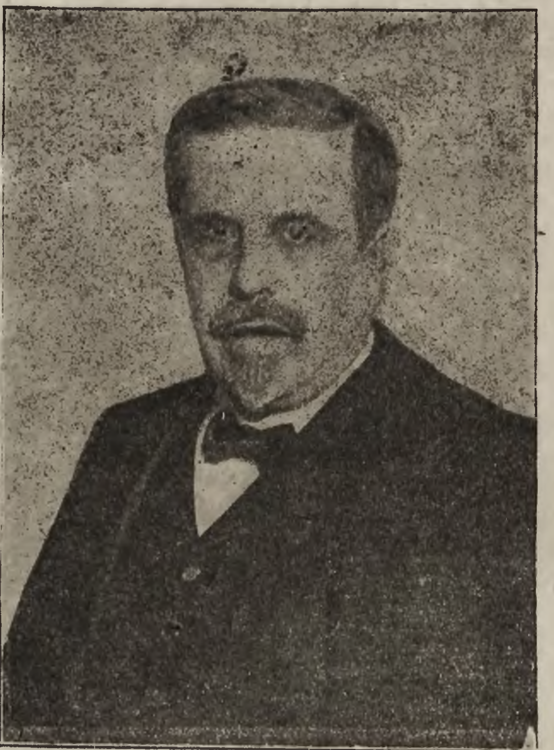
Po południu odbył się w lokalu Kasyna wojskowego uroczysty wieczorek dla oficerów i ich rodzin, delegacyi poszczególnych oddziałów i zaproszonych gości.

Punktem kulminacyjnym było przemówienie kapitana Pochmarskiego, który podniósł znaczenie i ważność wypadków listopadowych, zwłaszcza w dziejach polskiego oręża. Przebieg uroczystości był bardzo podniosły, a zakończono ją odczytaniem telegramu hołdowniczego do Naczelnego Wodza z okazyi ofiarowania mu przez armię polską honorowej buławy marszałkowskiej.

Zgon prezesa T. S. L.

Dnia 28 listopada b. r. rozstał się z życiem Ernest Bandrowski, dyrektor Wyższej Szkoły przemysłowej, radca miejski, prezes Towarzyst. Szkoły ludowej.

Z Bandrowskim zeszedł do grobu jeden z wybitnych przedstawicieli walczących niegdyś z miej



Zgon prezesa T. S. L.: S. p. Dr Ernest Bandrowski.

scowym konserwatyzmem demokratów krakowskich. Arena była to niewielka, więc i walki te przejdą nie do historyi, lecz do kroniki naszego miasta.

Zmarły z powołania chemik, pracował przez czas dłuższy na polu naukowem, od ćwierć wieku jednak przerzucił się na pole działalności społecznej. Imię jego stało się znanem powszechnie od chwili kiedy po śmierci Asnyka stanął na czele Towarzystwa S. L. Z popularnością Towarzystwa rosła i jego popularność. Jej zawdzięczał wybór do Rady miejskiej, w której po śmierci Rottera objął przewodnictwo frakcyi demokratycznej — jednocześnie został i prezesem krakowskiego odłamu demokracyi. Będąc zwolennikiem kierunku kompromisowego stępił ostrze walk w Radzie. Oddał zasługę ś. p. Leowi, wówczas głowie konserwatystów krakowskich, przyspieszając o kilka miesięcy wybór jego na prezydenta. Kiedy Leo przerzucił się nagle do domokracyi, Bandrowski dzięki jego poparciu został wybrany do sejmu. Kiedy wybuchła w T. S. L. gwałtowna opozycya przeciw Bobrzyńskiemu, wówczas wiceprezydentowi Rady szkolnej, Bandrowski umiał ją ułagodzić. Prowadził również kompromisową politykę z socyalistami i żydami. Polityka ta była główną jego siłą, zastępował nią brak wymowy, energii i stanowczości, które były podstawą popularności i wpływu Rottera. Zdobywał różne miejskie godności, był przewodniczącym Sekcyi szkolnej, wybrany został wiceprezydentem miasta, a choć nie finansista, objął stanowisko prezesa Rady nadzorczej Kasy Oszczędności.

Uzupełniamy to krótkie wspomnienie kilku datami jego życia:

Dr Ernest Bandrowski urodził się 1853 roku w Rawie Ruskiej. Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego ukończył w roku 1874, poczem jako stypendysta Wydziału krajowego, studyował chemię na uniwersytecie w Bonn i w Bernie szwajcarskiem. Powróciwszy do Lwowa uzyskał asystenturę przy katedrze chemii. W roku 1877 mianowany został profesorem chemii ogólnej i analitycznej w ówczesnej Akademii przemysłowo-technicznej w Krakowie i niemal równocześnie został docentem w uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie tytularnym profesorem nadzwyczajnym.

Drogę do karyery naukowej utorowały ś. p. Bandrowskiemu liczne prace i rozprawy naukowe z zakresu chemii ścisłej, ogłaszane od 1879 w języku niemieckim i polskim w czasopismach naukowych i wydawnictwach Akademii Umiejętności. — Prac tych ogłosił Bandrowski kilkadziesiąt, a z drobnych tych przyczynków urosło później poważne rozmiarami dzieło pod tytułem: „Wykład chemii



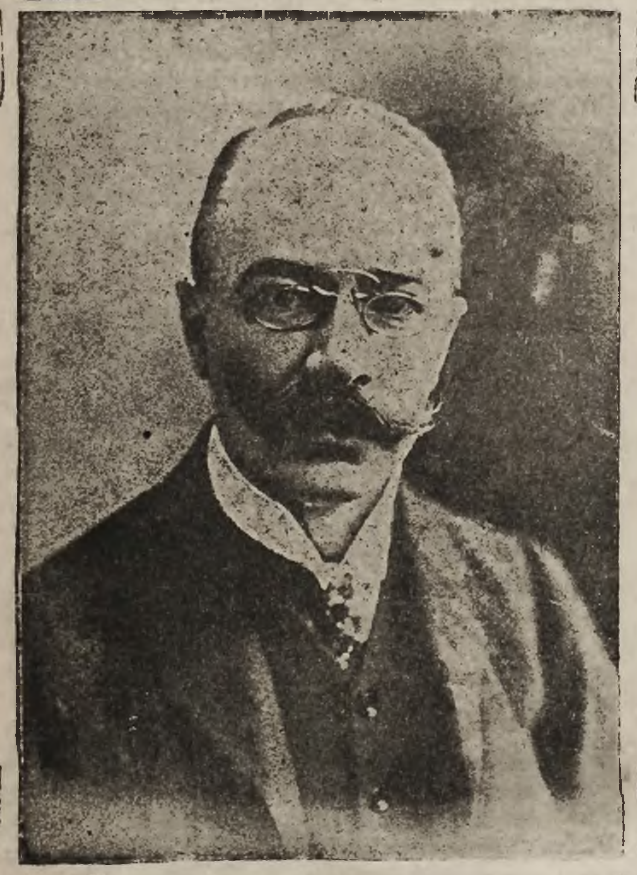
Krakowski garnizon w rocznicę listopadową: Jeneralicya z jen. por. Symonem (1) na czele, korpus oficerski oraz przedstawiciele władz i instytucyi podczas defilady po nabożeństwie w dniu 28 listopada b. r.

„ogólnej" część I. i II., ogłoszone w Krakowie w latach 1893 i 1894.

Po zreorganizowaniu Wyższej Szkoły przemysłowej na typ akademicki, ś. p. Bandrowski został najpierw jej profesorem, a potem dyrektorem i na tem stanowisku życia dokonał.

Przed zgonem złożył kwotę 10.000 marek na założenie biblioteki publicznej w Krakowie.

Pogrzeb jego przy tłumnem udziale publiczności odbył się kosztem miasta. Nad grobem zgodnie z życzeniem zmarłego mów nie wygłaszano.



Zażegnanie przesilenia gabinetowego: Następca W. Grabskiego, Dr Jan Kanty Steczkowski. dotychczasowy dyrektor P. K. P. w Warszawie.

Zażegnanie przesilenia gabinetowego.

W poprzednim numerze naszego pisma donosiliśmy o ustąpieniu ministra skarbu, Wł. Grabskiego, który z polecenia swej partyi podał się do dymisyi. W ślad za tem, wnieśli i inni członkowie gabinetu podania o dymisyę, skończyło się na szczęście na zmianie tylko na fotelu ministra skarbu oraz handlu i przemysłu. Koalicyjny gabinet Witosa utrzymał się u steru, atak narodowej demokracyi przeciw niemu nie udał się zupełnie.

Powierzenie teki skarbu nie było zbyt łatwe. Nasze finanse są w tak opłakanym stanie, że potrzeba prawdziwie genialnej głowy i żelaznej ręki, aby raz już zaprowadzić porządek w najważniejszej gałęzi administracyi państwowej. Jako kandydatów do spuścizny po Wł. Grabskim wymieniano dra Steczkowskiego, Michalskiego, Szarskiego, Druckiego i kilku jeszcze innych, najpoważniejszym z nich był przecież dr. Steczkowski i z nim przedstawiciele rządu rozpoczęli pertraktacye. Dr. Steczkowski, zdając sobie z tego sprawę, jakie ciężkie bierze na siebie zadanie, postawił szereg warunków, od których uzależnił przyjęcie teki.

Streszczają się one w następujących dziesięciu punktach:

1) Swoboda w reorganizacyi min. skarbu.

2) Zniesienie urzędów gospodarczych, np. „Pozapu" i gospodarka artykułami, zajętymi przez państwo za pośrednictwem przedsiębiorstw prywatnych pod kontrolą rządu.

3) Przeprowadzenie oszczędności w organizacyi urzędów państwowych.

4) Zniesienie odrębnej gospodarki pieniężnej poszczególnych władz. (Są to tak zwane punkty Bilińskiego).

5) Wstrzymanie wykonania ustawy o pożyczce przymusowej i poddanie jej rewizyi.

6) Zaniechanie przez Sejm uchwalania nowych wydatków bez zabezpieczenia im pokrycia.

7) Bezwzględny zakaz umów pieniężnych przez osoby i urzędy bez wiedzy ministra skarbu.

8) Koncesyonowanie kapitałów zagranicznych.

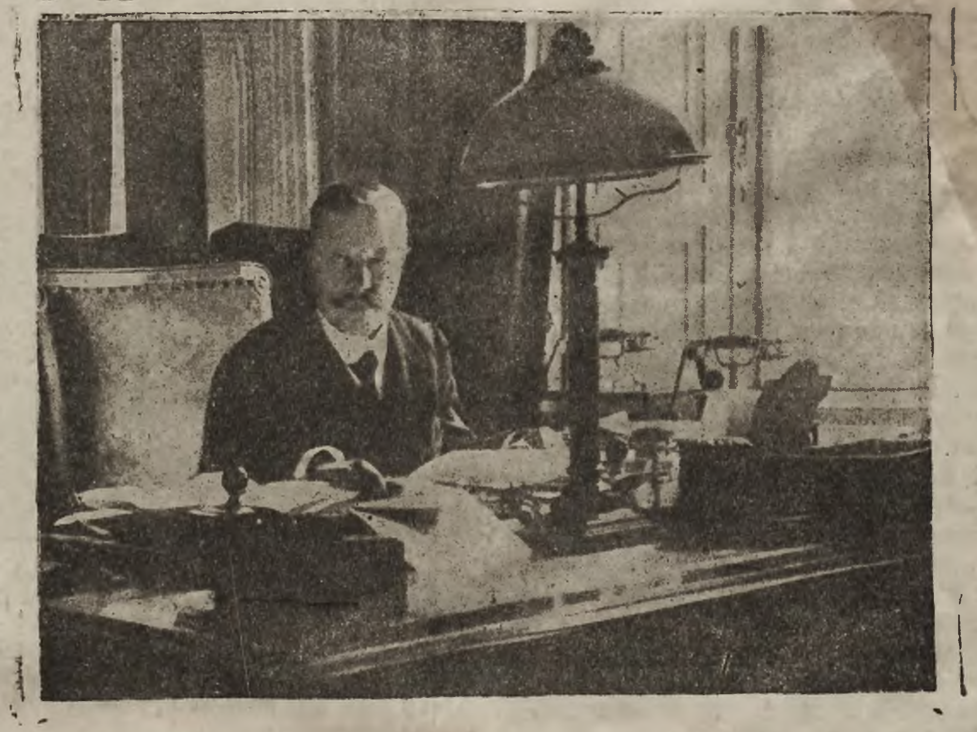
9) Mianowanie delegata ministerstwa skarbu do kontroli wydatków ministerstwa spraw wojskowych.

10) Specyalne zarządzenia dla utrzymania kursu waluty.

Pozatem zastrzegł sobie powrót na zajmowane obecnie stanowisko dyrektora P. K. P., gdyby misya jego spotkała się z niepowodzeniem.

Dr. Jan Kanty Steczkowski jest jednym z najdzielniejszych współczesnych finansistów i ekonomistów w Polsce, a w sprawach gospodarstwa krajowego dał się już poznać jako specyalista w kwestyach naftowych, drzewnych, węglowych itp. Na stanowisku dyrektora lwowskiej Kasy Oszczędności, następnie jako kierownik lwowskiej filii Wiedeńskiego Zakładu Kredytowego, wreszcie dyrektor Banku krajowego — rozwinął dr. Steczkowski bardzo żywą i owocną działalność. Przez krótki czas przewodniczył też gabinetowi warszawskiemu za czasów regencyi i piastował w nim tekę skarbu. W końcu br. powołano go na kierownika Polskiej Kasy Pożyczkowej. Obecna nominacya dra Steczkowskiego spotkała się w całym kraju z jak najżyczliwszem przyjęciem.

Stanowisko ministra handlu i przemysłu objął równocześnie inżynier Stefan Przanowski.



Nowy rząd w Austryi: Dr. M. Mayer, kanclerz i minister spraw zagranicznych w niemieckiej Austryi.



Z naszej sceny Marya Malicka, artystka dramatyczna teatru „Bagatela" w Krakowie.

Nowy rząd w Austryi.

Była monarchia austryacka wyszła jak najgorzej na trzymaniu się berlińskiej klamki. Wraz z Niemcami runęła i Austrya, ten sztuczny zlepek różnego rodzaju narodowości, przypominający tak wieżę Babel. Na gruzach byłego państwa habsburskiego powstał cały szereg organizmów politycznych o tle narodowem. Sama Austrya pozostała małem państewkiem, okrojonem ze wszystkich stron, a liczącem zaledwie kilka milionów mieszkańców. *Die schöne Kajserstadt* spadł do rzędu średnich miast, dawny jego przepych i bogactwo znikły z chwilą przemiany na republikę niemiecko austryacką.

Od chwili przewrotu socyaliści wiedeńscy ujęli ster rządów w swoje ręce i ich zadaniem było głównie staranie się o połączenie ściśle z Rzeszą niemiecką, co jednak spotkało się z stanowczą opozycyą Koalicy. W republice niemiecko-austryackiej zaczął się coraz bardziej rozwijać ruch komunistyczny, zwłaszcza zaś w czasie dojścia do rządów na Węgrzech Beli Kuhna i towarzyszy. Po upadku Bela Kuhn znalazł gościnne przyjęcie na ziemi austryackiej, rząd dra Rennera otaczał go troskliwą opieką, a potem pozwolił mu uciec za granicę.

Socyalistyczno-komunistyczne rządy doprowadziły Austryę do zupełnej ruiny, dotychczasowy kierunek utrzymać się nie mógł, a że nie miał racyi bytu, tego dowodem wynik wyborów do Zgromadzenia Narodowego, odbytych w październiku b. r.

Wybory te przyniosły bardzo dotkliwą klęskę socyalnym demokratom; ze stanowiska najsilniejszej partyi schodzą oni obecnie na drugie miejsce, chrześcijańsko socyalni uzyskali około 20 nowych mandatów, t. j. tyle, ile wynosi strata socyalistów.

Zupełnie zmiażdżeni zostali komuniści, którzy nie uzyskali ani jednego mandatu. Dzienniki zaznaczają, że rezultat ten wywoła dobre wrażenie zagranicą, gdyż zagranica przekonała się, iż Austrya nie jest podatnym gruntem dla eksperymentów komunistycznych.

Skutkiem wyniku wyborów przeszły naczelne stanowiska w Austryi w ręce chrześcijańsko socyalnych. „Arbeiter Zeitung" zapowiada, że socyaliści przejdą do opozycyi.

Oprócz komunistów, ponieśli klęskę także wszechniemcy, którzy stracili 5 mandatów. Znamiennem jest, że w Wiedniu głosowali za chrześcijańsko-społecznymi także żydzi ze sfer handlowo-przemysłowych. Giełda przyjęła wynik wyborów gwałtowną zwyżką.

Mimo przewagi socyalistów, chrześcijańsko społeczni byli na tyle silni, że socyaliści licząc się z tem, musieli ich dopuścić do udziału w rządzie. Jakkolwiek zajmowali oni resorty podrzędniejsze, to jednak w każdym razie stanowili poważny hamulec dla reformatorskich eksperymentów socyalistów. Stan ten trwał 2 lata. Jednak z biegiem czasu różnice w poglądach na uregulowanie kwestyi społecznych zarysowały się tak wyraźnie, że w końcu obie te partye, widząc, że wspólna praca stała się niemożliwą, postanowiły poddać się próbie sił przez ponowne wybory do Zgromadzenia Narodowego. Socyaliści ponieśli dotkliwą, ciężką klęskę. Jest to dowodem, że w opinii szerokich kół austryackich zaszedł stanowczy zwrot w kierunku ładu, porządku i racyonalnej, nieeksperymentującej odbudowy państwa.

Wobec tego nie może dziwić fakt, że handlowo-przemysłowe sfery żydowskie Wiednia, w imię interesów ekonomicznych, głosowały za swoimi prze-

ciwnikami politycznymi. Ruch przemysłowy i handlowy w Wiedniu zaczyna wrzeć pełnym tempem, kraj odrzuciwszy niebezpieczne eksperymenty wkracza na drogę ściśle realnego odrodzenia.

Kierownikiem obecnego rządu austryackiego jest dr M. Mayer, kanclerz i sekretarz stanu dla spraw zagranicznych, w „Związkowem państwie Austryi", takie bowiem nazwi ko urzędowe noszą od połowy listopada b. r. resztki ziem, podległych niegdyś berłu habsburskiemu.

Z naszej sceny.

Skreślenie sylwetki artysty lub artystki, zwłaszcza młodszych, spotyka się z licznemi trudnościami. Jeżeli ma się pisać o gwieździe teatralnej, szeroko znanej już w całym świecie, ma się zadanie bardzo ułatwione, wystarczy bowiem przejrzeć kilka lub kilkanaście recenzyj, wybrać z nich, co najważniejsze, zestawić razem i praca gotowa. Ale, jeśli przyjdzie pisać o sile młodej, rozpoczynającej dopiero karyerę sceniczną, musi się być bardzo ostrożnym, aby jej nie popsuć przedwczesnemi pochwałami, ale też nie przeoczyć, co zasługuje na podniesienie.

Spotykały nas już z różnych stron zarzuty, że zbyt entuzyastycznie wyrażamy się o talentach, będących dopiero w rozbłysku. Ci jednak, którzy są zdania, że gorące pochwały należy się wyrobionym już siłom, zapominają o tem, że i one w zaraniu swej karyery scenicznej, nim rozbłysły jasnem światłem, były tylko także gwiazdami wschodzącemi, a zasłużona pochwała była dla nich niejednokrotnie zachętą do dalszej, tem intesywniejszej pracy. Geniuszów scenicznych chwalić zresztą nie trzeba, młode, rozwijające się dopiero talenty, to odpowiednie pole dla sumiennej krytyki teatralnej, mającej im wskazać drogę, jaką kroczyć powinny.

Krytykować, to rzecz bardzo łatwa, aby sobie na to pozwolić, nie trzeba być nawet znawcą sztuki, nie zasłużone pochwały nie są też na miejscu, dzięki im zwichnął się już niejeden prawdziwy talent. Ale sumienność każe oddać każdemu, co mu się należy, choćby się to nawet miało komuś i nie podobać.

I dziś, poświęcając kilka słów dotychczasowej działalności scenicznej artystki dramatycznej panny Maryi Malickiej, musimy ją tylko chwalić. Dyrekcya krakowskiego teatru „Bagatela", angażując ją do swego zespołu dramatycznego, miała bardzo szczęśliwą rękę, zyskała w niej bowiem siłę młodą, ale rokującą tak świetne nadzieje na przyszłość, że już dziś śmiało powiedzieć można, iż z czasem zajmie ona bardzo poczestne miejsce w plejadzie naszych gwiazd scenicznych. Stwierdzają to jej występy w „Moralności Pani Dulskiej" (rola Meli), w „Dobrze skrojonym fraku", w „Domu na przeciwko" i t. d. W każdym jej wystąpie widzi się szczerą i sumienną pracę, gruntowne opracowanie roli, wżycie się w intencye autora, a jeśli się doda do tego jeszcze urok postaci młodej artystki, ma się zjawisko sceniczne



Zamach morderczy w Krakowie: Antoni Chmura, sprawca zamachu na życie Karoliny Pietrasowej.

rzeczywiście pierwszorzędnej wartości, nawet w rolach tak trudnych i niewdzięcznych, jakiemi są nieraz role naiwnych. W tym kierunku jest panna Malicka, według zgodnej opinii krytyki i bywalców teatralnych, wprost niezrównaną. Nie należy wątpić, że i w innym zakresie talent jej sceniczny znajdzie odpowiednie pole do popisu.

Pochwały te panny Malickiej z pewnością nie popsują, a uspokojeniem surowych krytyków niechaj będzie przypomnienie, że i największe nasze gwiazdy sceniczne rozpoczynały też swą świetną karyerę od małych początków, co im bynajmniej nie przeszkodziło wybić się w przyszłości na pierwszorzędne miejsce, i stać się ozdobą polskiej sceny.

Kącik humorystyczny:

Z rozporządzeń magistratu.

Z powodu braków aprowizacyjnych zamyka się podziemia w Sukiennicach aż do odwołania. Otwarcie nastąpi po stwierdzeniu konieczności przez zakład czyszczenia miasta.

◉ ◉

Ostrożny.

(Rzecz dzieje się w pewnej restauracyi).

— Czegóż ty nos zatykasz?... Czy ten kotlet może czuć?

— Nie!... Doskonały jest, ale taki mały, iż się boję, by go nie zdmuchnąć z talerza.

◉ ◉

Z magistrackiego katechizmu.

— Błogosławieni niech będą ubodzy, albowiem... fundusz ubogich już wyczerpany.

◉ ◉

Pod znakiem czasu.

Pan X., który właśnie wczoraj zapłacił dwa tysiące marek za parę trzewików, spotkawszy na ulicy kulawego, wzdycha:

— Mój Boże!... Jaki to szczęśliwy człowiek!... Ile on rocznie może zaoszczędzić na obuwiu!...

◉◉◉

Paskarz.

— O!... Idzie ten paskarz!

— Co ty mówisz!... To najuczciwszy w świecie człowiek!...

— Ja też nie kwestyonuję wcale jego uczciwości!

— A dlaczego go nazywasz paskarzem?

— Bo to bandażysta z zawodu, a jego specyalnością wyrób pasków rupturowych!...

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko jednego z bohaterów Sienkiewiczowskich:

```
      ■
    — ■ —
  — — ■ — —
    — ■ —
      ■
    — ■ —
  — — ■ — —
  — — ■ — —
    — ■ —
      ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Część ciała, 3. Rodzaj łodzi, 4. Imię żeńskie, 5. Samogłoska, 6. Znany niegdyś Japończyk, 7. Część stroju kapłańskiego, 8. Polski pamiętnikarz, 9. Rzeka w Rosyi, 10. Samogłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył R. T., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego posła, jednego z głównych demonstrantów przeciw Senatowi:

— ola
— ena
— mir
— ara
— pir
— oga
— oła
— ran
— zaw
— ola
— gor
— yna
— ola

Okienko.

Ułożył M. Turek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a  a  a  a  b
e     e     k
l  o  o  o  o
n     n     r
r  s  s  u  u
```

Znaczenie wyrazów: 1. Pismo święte u Turków, 2. Rodzaj zagadki, 3. Jeden ze szczytów tatrzańskich

Zagadka literacka.

Ułożył W. M., Kalisz.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą głośne dziś w Polsce nazwisko:

Mickiewicz ?
Kraszewski ?
Słowacki ?
Bałucki ?
Mickiewicz ?
Zieliński ?
Krasiński ?

Trójkąt magiczny.

Ułożył X. Y., Wiedeń.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko jednego z współczesnych polityków zagranicznych:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Kraj w Afryce, 3. Jeden z królów rzymskich, 4. Postać biblijna, 5. Francuska rodzina książęca, 6. Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył S. Sokołowski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a, b, e, e,
i, l, m, o,
o, r, r, r,
t, u, z, z.
```

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Europie zachodniej, 2. Rzeka w Hiszpanii, 3. Kombinacya kart w taroku, 4. Powieść opisarz francuski.

Łamigłówka.

Ułożył J. B., Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć dwie obok siebie stojące litery i ułożyć z nich nasze obecne niedomaganie aprowizacyjne:

Ambra, Robak, Olchowiec, Eleonora, Bałucki.

Figielek.

Ułożył R. Lisowski, Kraków

W jaki sposób i którą kobietę można najłatwiej zamienić w drzewo?..

Przysłowiówka.

Ułożył M. Malinowski, Płock.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - - a - - o - i e - i ą - -
2) - - - o - a - - a - u i a - - a - u.

Kryształówka.

Ułożył H. D., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy nazwisko głośne dziś w całej Polsce:

```
          ■
        — ■ —
      — — ■ — —
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
      — — ■ — —
        — ■ —
          ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Okres czasu, 3. Część budynku, 4. Szukany wyraz, 5. Polski pamiętnikarz, 6. Część ciała, 7. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 H. Sienkiewicz: „Rodzina Połanieckich“ (Powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 47.

Grzebieniówka: Rosa, a, doba, z, Iran, w, imam, ława, ł, ó, woda.

Kryształówka: W, era, brama, Wrangel, kogut, lew, l.

Trójkąt magiczny: Harding, Antoni, rynek, doki, Inn, nn, g

Logogryf: K, Don, Kąśna, ach, i. tur, Pasek, Kazań, oko, o.

Łamigłówka: Senat.

Przysłowiówka: 1) Nim słonce zejdzie, rosa oczy wyje, 2) Dobra psu mucha

Rebus: Każdy ma otwarte pole do zasługi.

Kwadrat magiczny: Flis, liga, Igor, Sara.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Zawadzki Kraków, S. Grabowski Wadowice, A. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, J. Malinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Miłówka, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S. Sygowska Rzeszów, S. Lesicki Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów, J. Weber Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Raczyński Krakow, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Jabłoński Lublin, A. Lipski Wiedeń, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnow, M. Bodziński Krak w, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów, S. Cichocki Jasło. S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, Winnica, J. Jastrzębski Lwów, W. Dutkiewicz Przemyśl. J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Martynowicz Kielce, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, M. Lewińska Stanisławów, W. Witowska Warszawa. J. Nowak Sandomierz, J. Balicki Sanok, J. Nowakowski Sandomierz, X. J. Welc Sanok, W. Hałdziński Kolbuszowa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Lesicki Warszawa (książka), 2) T. Cichocki Jasło (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 2 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.